

Paweł Fleszar

Wyśniona jedenastka

**Rozdział dziewiąty
sierpień 2004**

I.

To tak, jakby dziewczyna, która narobiła ci nadziei, idąc po imprezie do ciebie, przed drzwiami zmieniła zdanie i poprosiła, żebyś jej zamówił taksówkę do domu.

Śledzili losowanie eliminacji Ligi Mistrzów w klubowej kawiarence na stadionie. Na stronie UEFA pokazywały się nazwy zespołów i ich przeciwników. Wisła wyświetliła się przy AS Monaco, co wywołało radosne ożywienie. Owszem, to aktualny finalista LM, ale latem pozbawiony większości siły uderzeniowej: Morientesa, Rothena, Giuly'ego i Prso. Ciągłe trochę lepszy, ale na pewno w zasięgu. Tyle że po chwili nazwa krakowskiego zespołu przewędrowała do Real Madrid CF, odprowadzana pełnym zawodu jękiem.

- To musiała być pomyłka obsługującego tę stronę; prezes mówi, że od razu dolosowali nas do Realu - wyjaśniał kierownik drużyny, który zadzwonił do Paczkowskiego.

- Przynajmniej dzięki temu kibice poznają nowe, trudne słowo: iluzoryczny - Tomciara na pierwszej linii sarkazmu.

- Dopóki piłka w grze i tak dalej. Czas pokaże - tak jak tamten zawsze starał się być oryginalny, tak Jacek nigdy nie był w stanie uciec od banału. - Nie graliby w eliminacjach, gdyby byli tacy dobrzy.

- Pod względem potencjału to jest chyba najlepsza drużyna na świecie, tylko fatalnie pozostawiana - Maciej baczniej przyglądał się Realowi od czasu romansu z Puskasem. - Nie wiem, czy jakikolwiek klub miał jednocześnie w kadrze czterech zdobywców "Złotej Piłki". A tu Ronaldo, Zidane, Figo i teraz Owen. Do tego Raul, Beckham, Morientes, Roberto Carlos, Casillas. Masz jakieś pytania?

- No i z tym składem, bez Owena, zajęli czwarte miejsce w lidze hiszpańskiej. Oglądałem większość ich meczów, chwilami prezentowali się naprawdę przeciętnie. - Konrad wyrównał siły, przynajmniej w dyskusji.

- Bo tak się dzieje, gdy transfery przeprowadza klubowy dział marketingu - rozkręcał się Maciek. - Jest w składzie najlepszy prawoskrzydłowy w Europie, czyli Figo, a oni ściągają do tego najpopularniejszego prawoskrzydłowego, "Becksa". Są Raul i Morientes, to do nich trzeba dołożyć Ronaldo, który akurat był gwiazdą mistrzostw świata. Morientesa muszą więc wypożyczyć, a on eliminuje ich w ćwierćfinale Champions League. Wywalasz ponad sto milionów na kupno tamtych, ale skąpisz na podwyżkę dla Makelele, który zapewniał bezpieczeństwo i swobodę zawodnikom ofensywnym. Na jego pozycji grywa więc Beckham. To tak jakbyś używał ferrari jako samochodu na zakupy. Teraz wrócił Morientes, ale do trzech wybitnych napastników dochodzi Owen, nie wiadomo, kurwa, po co. I jeszcze kopiący się w czoło stoper: Woodgate. Jeśli chcieli wydać kasę w Anglii, to zamiast tej trójki mogli kupić rok temu Vieira i Rio Ferdinanda, a nikt by im nie podskoczył w Europie.

- Dobra, chodźcie, trzeba pozbierać jakieś komentarze, już druga - Tomciara ściągnął go na grunt prozaicznych problemów.

W kawiarence pojawił się Romański i zaraz powietrze wokół niego dźgały wyciągnięte ramiona z dyktafonami.

- Panie trenerze, jak pan ocenia szanse swojego zespołu w konfrontacji z tak klasowym przeciwnikiem?

- No cóż, to są tacy sami ludzie jak my.

To będą trudne trzy tygodnie, zdał sobie sprawę Maciek, wysyłając ostatni z tekstów o losowaniu. W redakcji dostali bzika na punkcie Realu, codziennie trzeba będzie produkować tonę materiałów. Gromek szykował się już do wyjazdu do Aten, pisał coś o olimpiadzie. Nie będzie się

wtrącał, ale też nie pomoże, a na ogół był w stanie i chciał wziąć na siebie część ciężaru. Większość pewnie spadnie na niego i Tomka.

Ale przynajmniej w tym kotle nie miał czasu myśleć o spirali tajemnic i niebezpieczeństw, w której tkwił od kwietnia. Na tej samej zasadzie zawsze śmiał się z ludzi narzekających na poniedziałki. Na niedzielnym dyżurze zasuwaleś jak mały samochodzik pod ciągłą presją czasu, na ogół poprawiając relacje korespondentów terenowych, co niekiedy kazało wątpić w sens "Zasad pisowni języka polskiego", czy redakcyjnych wzorów adiestacji tekstów. Obiada-kolacyjną pizzę jadłeś stukając zatłuszczonymi paluchami w klawiaturę, a potem długo w noc zbierałeś myśli. Poniedziałek był chwilą wytchnienia.

Wracając przez kilkanaście godzin z Francji do Krakowa przeanalizował wszystkie zdarzenia, w których uczestniczył, a potem obgadał jeszcze wspólnie z Karoliną. Zrelacjonował jej rozmowę z córką Duvalla.

- Wie pan, on całe życie walczył. A teraz tak głupio zginął. Zatrął się gazem, instalacja chyba była nieszczęlna - opowiadała zrozpaczona kobieta w paryskim mieszkaniu.

- Nieszczęlna? A może ktoś coś poodkręcał? - Maciek teraz już wszędzie podejrzewał zamach.

- Może, policja tu była, coś badali, sprawdzali. Nie wiem.

Poznał losy nastoletniego warszawiaka, który uczestniczył w obronie stolicy we wrześniu 1939 roku, w konspiracji przeżył na jej ulicach prawie całą okupację, a po Powstaniu wylądował najpierw w stalagu niedaleko Opola, potem przewieźli go w głąb Niemiec, gdzie obóz wyzwolili Amerykanie. Nie wrócił już do Polski, wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, potem był najemnikiem w Afryce, aż wreszcie wylądował jako szef zmiany w ochronie Luwru. Ożenił się z córką polskich emigrantów z górniczego regionu Lille. Już wcześniej Jan Drwał został Jeanem Duvalem.

- Byłam mała, kiedy tata zamieszkał z nami na stałe, osiedliliśmy się tutaj - nieco staroświecką polszczyznę opowiadała Marie, zajmująca się projektowaniem wnętrz.

- Mieliście jakichś znajomych, na przykład z Węgier?

- Niewykluczone, ale będąc dzieckiem, czy nastolatką nie interesowałam się życiem rodziców. Tata był surowy, miałam dość tej dyscypliny i kiedy skończyłam 18 lat wyprowadziłam się z domu. Potem oni przenieśli się do tego mieszkania. Regularny kontakt utrzymywałam tylko z mamą, z nim widzieliśmy się zaledwie kilka razy, przy okazji jakichś świąt. Zresztą tutaj, we Francji, nie kultywuje się tak rodzinnych związków, jak w Polsce. Dopiero, kiedy mama umarła, przed dziewięcioma laty, nawiązaliśmy trochę bliższy kontakt.

Wszystko było autentyczne; jej rozpacz, ta historia, podobna do wielu, nawet zapach gazu w kuchni, w której usiedli. Ale też do Maćka wróciło poczucie, że pewnym informacjom stary w ogóle się nie dziwił, nie poruszały go, na niektóre pytania był jakby przygotowany. Choć w innych przypadkach burczał coś w stylu "nie twój interes".

Umarł Duvall, umarł Lajos, którego nazwiska nie zdążył nawet poznać. Jakieś nitki muszą prowadzić do "Wyśnionej jedenastki", bo to o niej stary mówił z największym ogniem, był najbardziej wiarygodny.

Gyula Grocsis - Jenő Buzanszky, Gyula Lorant, Mihály Lantos - József Bozsik, József Zakariás - László Budai, Sándor Kocsis, Nándor Hidegkuti, Ferenc Puskás, Zoltán Czibor. Maciek znał skład na pamięć, a z zawodowego nawyku wymieniał ich w ustawieniu taktycznym, nie zapominając, że Zakariás cofał się na lewą obronę, Hidegkuti do pomocy i tak z systemu 3-2-5 (WM) przechodzili do 4-2-4. Na ziemskim boisku zostali już tylko Grocsis, Buzanszky i Puskás. Wszyscy chyba mieszkają w Paprykolandii. Nawet Puskás nie pozostał w Madrycie, gdzie dawniej, gdy spacerował

chodnikiem, policjant na jego widok zatrzymywał ruch, żeby geniusz mógł spokojnie przejść przez ulicę. Szukać tych osiemdziesięciolatek, przepytawać ich? Gdzie, kiedy?

W kuchni Duvalla stał kredens, taki jak u jego babci na wsi. I tak samo w drewniane obramowania szybek zatknięte były kartki pocztowe. Jakieś tropikalne widoczki, dwa polne krajobrazy najwyraźniej z Polski, nierozpoznane miasto z gotyckimi budynkami nad kanałem. I jeszcze jakby Grand Place w Brukseli, ale nad tym Maciej do tej pory się zastanawiał. Był tam rok temu, przy okazji meczu Wisły z Anderlechtem, ale wtedy, o północy, wprost na kamiennych płytach siedziały setki młodych ludzi. Atmosfera była luźna, u schyłku sierpnia mięśnie przeżyło jeszcze lato, a na okoliczne zabytki padało inne światło. Ta kartka wyglądała staro, nawierzchnię przykrywał śnieg, pośrodku jaśniała choinka i tylko dwa gmachy w głębi sprawiały znajome wrażenie.

Bruksela jest blisko Holandii... Kto mógłby mieszkać w Belgii?

Jest coś, co mógłby zrobić. I powinien to zrobić na początku, kiedy dowiedział się, że "Armand" przypłynął z Rotterdamu, nawet jeśli to ruch kompletnie w ciemno. Rok temu w obsłudze wyjazdowego meczu z Anderlechtem pomagał im studiujący w Leuven Rafał. W internetowej grupie dyskusyjnej, dotyczącej Legii, której kibicowali, poznał się z chłopakami z warszawskiej redakcji. Wciągnęli go w pisanie korespondencji z Belgii. I wtedy, i teraz raczej incydentalnych; ożywiły się, gdy Wisła wylosowała "Fiołki" w eliminacjach Ligi Mistrzów. Chłopak był sympatyczny, inteligentny, życzliwy. Na konferencji prasowej spontanicznie został tłumaczem Maćka, a kiedy zobaczył to ktoś z brukselskiego klubu - poprosił go, żeby zamiast na ucho przekładał Romańskiego i Hugo Broosa głośno, w obie strony. Kobieta, którą do tego wynajęli, chyba nie interesowała się futbolem.

Rafał bardzo dobrze znał niderlandzki, a więc język obowiązujący w Holandii. Mógłby posprawdzać w necie, czy nie wydarzyło się coś nietypowego w obu krajach, gdy "Armand" wyruszał do Polski. Kontakt mieli znikomy, ot życzenia świąteczne wysyłane mailem, ale pod swoimi wiadomościami zostawiał zawsze nr do GG. Tylko musi się przerzucić na laptopa, bo na redakcyjnych Macach gadu-gadu nie działało.

Gdy wpisał numer u góry żółto-pomarańczowego prostokąta, wyskoczył mu użytkownik o nazwie "RafaeLka".

Ja (21:18)

Cześć :) Jak leci? Jesteś w Leuven czy w domu?

Ja (21:19)

Mam prośbę. Potrzebuję researchu o wydarzeniach w Holandii i Belgii przed rokiem. Może będziesz w stanie coś znaleźć.

Szybko rozległ się odgłos przychodzącej wiadomości.

RafaeLka (21:20)

Siema Maciek ;) Kope lat. Co u Cb?

Ja (21:20)

Kupa roboty z przewagą kupy. Mógłbyś poszperać gdzieś za tymi informacjami?

RafaeLka (21:21)

Teraz siedze w Norymberdze, mam tu prace na wakacje. Ale moge poszukac czegos na holenderskich czy belgijskich stronach w jezyku niderlandzkim. Co to ma byc?

Trudno stwierdzić, czy tak rzadko używał polskich znaków przez młodzieżową manierę, czy ze

względu na długi pobyt za granicą.

Ja (21:22)

Problem w tym, że będę wiedział dopiero wtedy, gdy to znajdę ;) Wiosną ubiegłego roku wypływała z Rotterdamu barka "Armand", kupiona przez firmę planującą zagospodarowanie jej w Krk. Na pewno to znajdziesz, ponoć były publiczne protesty w tej sprawie. Chodzi o to, czy w tym okresie nie zdarzyło się coś niezwykłego w Holandii, Belgii, może Luksemburgu.

RafaeLka (21:24)

Maciek... Ja studiuję fizyke. Nie jestem detektywem, ani tym bardziej jasnowidzem;)

Ja (21:24)

Ale od trzech lat mieszkasz w kraju, który wydał Herculesa Poirot;) Powinieneś nabyć jakieś umiejętności, oddychając tym samym powietrzem. Albo przynajmniej trochę instynktu śledczego ;p

RafaeLka (21:25)

Poirot był postacią fikcyjną;)

Ja (21:25)

Niemożliwe! Większość ludzi, których spytasz, powie, że o nim słyszała. I każdy z nich wie, że chodził w meloniku i miał smoliste wąsy ;)

RafaeLka (21:35)

Przepraszam, przyszli kumple. Musze konczyć. Jasne, że postaram się pomóc, choc efektów nie obiecuję? Odezwe sie, jak bede cos miał. Narka;)

Ja (21:35)

Wielkie dzięki z góry! Trzymaj się;)

Nawet nie spytał, po co te informacje. Cały Rafał.

II.

Dzisiaj na pierwsze danie był wywiad ze Strzelcem, "polskim Beckhamem", bo jego żona przez parę lat śpiewała w chórk w "Jaka to melodia". Na drugie - wycena czteroletniej ofensywy transferowej Florentino Pereza. Przystawki to informacje o sparingu Realu z Getafe i kadrowe decyzje Camacho, a deser: meldunki z treningów Wisły. Plus, oczywiście, sporo zdjęć. Dzień dzień przygotowywali dwie strony. Mają być "dwie super kolumnienki", jak określał Stefek Jucha, którego dyspozycje dość chłodno przekazywał mu Gurgul.

Kilka dni temu Maciek przejrzał wreszcie odłożone gazety z czasu pobytu we Francji. Rzuciły mu się w oczy dwie niezbyt fortunne ingerencje w leady swoich tekstów, więc zaczął czytać całość, co było jeszcze większym błędem. Wściekł się tylko, widząc poprawki tamtego, robiące z niego idiotę. Choćby coś takiego: Maciek napisał, że wiślaczy zwiedzali "Aquarium" w Vannes, z kontekstu wynikało co to jest, ale Gurgul dołożył w nawiasie "(czyli wielkie akwarium)", nie do końca zresztą zgodnie z prawdą. Do zdania: "Bodaj najbardziej niezwykłą atrakcją jest krokodyl, który wcześniej pływał w paryskich kanałach", tamten dodał: "Oczywiście, dopóki nie został schwytyany". Takich dopisków, zmian było kilkanaście. Gdy to czytał, żałował, że nie zgubił się gdzieś po drodze z Francji do Polski. Było przed północą, ale zadzwonił do Gurgula i tak krzyczał, że obudził starego ochroniarza, który przyczłapał zaintrygowany z recepcji.

Teraz Maciej czekał, aż do domu pozbiera się Paweł, który zamarudził jeszcze przy biurku, bo miał zamiar zadzwonić do Karoliny. Obok stacjonarnego komputera ustawił ciągle odpalonego i podłączonego do netu laptopa, z żółtym słoneczkiem jako status gg, licząc, że może odezwie się Rafał.

Po powrocie z Francji, na przełomie lipca i sierpnia, był u Karoli w Łańcutie. Poznał jej rodziców. Sympatyczni ludzie, odnosili się do niego miło, ale granice były wyraźnie zakreślone. Spał w pokoju jej młodszej siostry, która wyjechała na obóz siatkarski, ściany zaś miała wyklejone plakatami piłkarzy. Wychodzili do malowniczego, okołozamkowego parku, ale tam deprymowali ich porozstawiani pod drzewami uczestnicy międzynarodowych kursów skrzypcowych. A kiedy młodzi wirtuozi kończyli wreszcie ćwiczenia, wyłaziły komary.

- Halo?

- Czy to miss Łańcuta i okolicznych powiatów?

- Nieaktualne, miss abdykowała, skuszona lodami i czekoladą. To już druga jej tak dramatyczna decyzja, po rezygnacji z siatkówki.

- Do dzisiaj ukrywałaś przede mną, że grałaś w siatkę?

- Nie było się czym chwalić, zrezygnowałam w wieku piętnastu lat, po tym jak doszłyśmy do turnieju finałowego gimnazjady. Sport nie jest dla grubasów.

- Mimo wszystko, cieszę się, że u ciebie wszystko normalnie. Sama jesteś?

- Cześć, kochanie! Miałam nadzieję, że już wczoraj zadzwonisz. Tak, sama. Rodzice pojechali z Agą na działkę, tam zawsze znajdują sobie robotę.

- Nie pomagasz im? - Karolina wychowała się na wsi pod Łańcutem, do miasteczka przeprowadzili się dopiero po urodzeniu jej siostry.

- Zostałam stworzona do bardziej odpowiedzialnych zadań: przygotowuję sos pomidorowy, nakładam do słoików i pasteryzuję. Mówię ci, pyszny, tajemnicą przepisu jest mnóstwo oregano. Dostaniesz trochę na skosztowanie.

- Jeśli razem ze słoikiem przyjedziesz ty, możesz przywieźć nawet marynowany czosnek. Zjem bez mrugnienia okiem.

- Dziwne byłoby, gdybyś mrugał do czosnku, hi, hi, hi. Dowcip ściągnięty z Małgorzaty Musierowicz, odświeżam ją sobie przez wakacje. Chciałbyś, żebym przyjechała?

- Tak, pewnie. Ale nie możesz, wiesz dlaczego. Poczekajmy, niech się wszystko uspokoi.

- To może ty wpadniesz wcześniej? Miejsce się znajdzie, Agnieszka będzie spać u mnie.

- Niedawno skończyłem pisanie, jutro przed południem zaczynam na treningu przy Reymonta. I tak codziennie, a im bliżej meczu będzie tego więcej. Potem rewanż. Do tego liga, Cracovia też gra. A Gromek nawet jak wróci z Aten, to pewnie pójdzie na urlop, żeby końcówkę wakacji spędzić z dziećmi, a potem odprawić je do szkoły. Na cały sierpień jestem uziemiony.

- Tak psioczysz na tę pracę, a tyle jej poświęcasz.

- Związki sado-maso nigdy nie są łatwe.

- Dobra, dobra. Kurczę! Właśnie - psioczysz! Już dwa razy przypominałam sobie, że mam ci to powiedzieć, a kiedy już się kontaktowaliśmy, wylatywało mi z głowy. Podświadomość pewnie wypierała. To takie straszne?

- Ale w czym rzecz?

- Pamiętasz, jak siedzieliśmy na kamiennej trybunie, tam na górze i zaczęli nas gonić ci policjanci. No, jak się okazało, to my zaczęliśmy uciekać...

- Pamiętam. I co w związku z tym?

- Kiedy mi przerwali, zaczęłam opowiadać o tym biednym Picklesie. To okropne co się z nim stało. Powiesił się!

- Co ty mówisz?! Jak pies może się powiesić?! Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem.

- Ja też! Ale to pasuje do tej historii, w której wszystko jest niesamowite. Wyrwał się właścicielowi, temu całemu Davidowi Corbettowi. Jak można tak nie uważać na pieska, na którym na dodatek tyle skorzystał! W każdym razie, wyrwał się i pogonił za kotem. Znaleźli go dyndającego na gałęzi, o którą zawadził smyczą i zaciągnął ją sobie na szyi.

- Ja kręcę!

- Czasem się zastanawiam, czy tu się nie pojawiają zjawiska paranormalne. Tak, wiem, to absurd. Mam ciotkę, która interesują się magią, feng shui i takimi tam. Kiedyś ustawiła nam lustro naprzeciwko drzwi w łazience, bo odbija w ten sposób złą energię. O mało nie dostałam zawału, gdy zaraz po wejściu zobaczyłam przed sobą jakąś postać.

- Hu, hu, hu! Odbiło złą energię. Tyle że w ciebie.

- Bardzo śmieszne. Pożyczyłam od niej książkę o magicznych właściwościach kamieni.

- Zawsze podkreślasz, że jesteś katoliczką, a za takie rzeczy się bierzesz.

- Trzeba wiedzieć, co knuje przeciwnik. W tej książce przeczytałam, że w wielu kulturach lapis lazuli jest uważany jako święty kamień, posłaniec Niebios, który przynosi ludziom mądrość, zrozumienie. Ale w innym miejscu znalazłam też, że moc takiego kamienia, niekoniecznie lazurytu, może zostać spotęgowana, kiedy jest on poddany działaniu ludzkich emocji. Niewiele jest kamieni, które skupiały na sobie tyle pragnień, wściekłości, szczęścia, żalu, co podstawa "Złotej Nike". Może ktoś chce ją zdobyć właśnie ze względu na kamień? Pomyśl, jaką energię teraz posiada. A może pod wpływem tych emocji zmienił się jej kierunek, na zły?

- Karola, to są sprawy, które ludzie dawno powynosili na strych.

- Pfff. Przesady i zacofanie? Chyba się zakiwałeś w tej wypowiedzi. Tajemnice sprzed wieków, magia, stają się coraz bardziej modne. Popatrz na te wszystkie książki, filmy, choćby "Kod Leonarda da Vinci", czy "Dziewiąte wrota".

- Nie bluźnij, dziewczyno, bo już układam stos, na którym cię spalę - starał się obrócić spór w żart.

- Zestawiasz tego hamburgera do czytania, który wpięprzali Amerykanie, a za nimi reszta świata, z prawdziwą literaturą. Bo "Klub Dumas", który Polański skrócił do filmu, to jest świetna książka i na dodatek hymn na cześć czytania.

- Ok, lepiej kłóćmy się o książki, które znamy, zamiast o sprawę, o której niewiele wiemy.

- Lepiej nie kłóćmy się wcale. Mimo wszystko, mimo tych tatuaży zalatujących sekciarstwem, sądzę, że największą rolę gra tutaj czysto materialna żądza zysku.

- Ale jaką to musi mieć cenę, żeby takie rzeczy się działy? Jak wielu już ludzi nie żyje, jakie kombinacje miały miejsce, włamania, kradzieże. Czego to wszystko jest warte?

- Dobre pytanie, niestety, nie znam na nie odpowiedzi. A propos niemierzalnych, emocjonalnych wartości. Przyjedzie Real, pewnie będzie dostęp do niektórych zawodników, zwłaszcza dzień przed meczem, na konferencji prasowej i treningu. Może postaram się o jakieś autografy dla Agnieszki? Cały pokój wytapetowała plakatami, więc chyba bardzo interesuje się piłką. Ma jakiegoś ulubionego piłkarza Realu?

- Aga nie lubi Realu, ze względu na białe stroje. Taka jest natura jej kibicowania... Nie zapominaj, że ona ma dopiero trzynaście lat.

- A ty chciałybyś jakiś podpis?

- Twój. Wyślij mi pocztówkę z Madrytu. Ale wcześniej zadzwoń znowu. Na razie kończymy, bo już długo gotują się słoiki. Muszę zrobić z nimi porządek, zanim przyjedzie moja ekipa.

Po porcji miłosnych zapewnień i szczebiotów, od której wzięłyby go mdłości, gdyby dawniej usłyszał je w cudzym wykonaniu, a teraz uważał za nieodzowny i przyjemny składnik ich związku,

przesiadł się do laptopa. Sporo wcześniej usłyszał charakterystyczny dźwięk przychodzącej wiadomości.

RafaeLka (19:45)

Cześć, Maciek. Jesteś tam?

RafaeLka (19:55)

Daj znać, gdy już będziesz dostępny. Chyba mam coś dla Cb.

Ja (20:33)

Cześć. Przepraszam, miałem długą rozmowę telefoniczną. Co tam?

RafaeLka (20:42)

Poszedłem na skroty, sledzenie tego w dziennikach byłoby nie do zrealizowania. Ale znalazłem stronę internetową bulwarowego pisemka, w którym opisują różne kryminalne zdarzenia z Benelksu. Nie będę się wglębiał w szczegóły, jak się tam dostałem...

Ja (20:43)

Zrobiłeś to w dobrym celu.

RafaeLka (20:43)

To dobrze, ale chyba wole go nie znać, żeby nie pozbywać się złudzeń. Wiesz, tam jest dużo nonsensownych kawalków, w stylu: najjarani Amerykanie wjechali na rowerach do kanału w Amsterdamie, bo chcieli sprawdzić, czy mogą jeździć po wodzie, jeśli beda bardzo szybko pedałować.

Ja (20:44)

Ubaw po pachy. A coś poważniejszego? Jakies zbrodnie, kradzieże?

RafaeLka (20:44)

Było trochę, ale albo przedstawiali je od razu z wytłumaczeniem, albo sam znalazłem w wyszukiwarce, że zostały później wyjaśnione. To już rok przecież minął. Najdziwniejsza sprawa zdarzyła się w Brugii, do tej pory chyba jej nie rozwiązano. Tamten dziennikarz, który to opisywał, twierdzi, że może chodzić o jakieś kwestie sekciarskie. To znaczy, że...

Ja (20:45)

Że nie wiedział, co się stało, a musiał zapełnić stronę.

RafaeLka (20:45)

Nie, on jest uważany za dobrze poinformowanego. Mowie Ci, to strasznie dziwne, jak jakiś rytuał wu-du, albo to co w Indiach robią. To się zdarzyło w Brugii. Spalił się doszczętnie dom, z człowiekiem w środku, ale ten facet już wcześniej nie żył.

Maciek poczuł znajome ciarki. Nie dość, że sposób działania trochę przypominał ten, w jaki obchodzono się z topielcem z Wisły, to kolejną zakładkę otworzyło mu hasło "Brugia". Przecież to tam były takie średniowieczne zabudowania nad kanałami, jak na widokówce w kuchni Duvalla. Dopiero teraz skojarzył, że widywał te obrazki na zdjęciach.

Ja (20:46)

O tym zapełnieniu strony to taki żart dziennikarski. Przepraszam, że Ci przerwałem.

RafaeLka (20:46)

Spoko, nie szkodzi. Ten człowiek został odnaleziony kilka dni wcześniej w swoim domu, nieżywy. Policja podejrzewała włamanie, bo drzwi pootwierane, ale nic nie zniknęło, sekcja wykazała naturalną przyczynę zgonu. Syn odebrał ciało, był zaplanowany pogrzeb. A potem wszystko spłonelo.

Ja (20:47)

A co z synem, też się spalił?

Rafaelka (20:47)

Nie, zniknął. W zgliszcach nie znaleziono śladów po nim.

Ja (20:47)

Podali może, jak się nazywał ten nieboszczyk?

Rafaelka (20:47)

Ludovic Konaert. Był chyba francuskojęzyczny, chociaż mieszkał we flamandzkiej części kraju. Ale nie był też Walonem. Napisałi, że to Węgier z pochodzenia, a nazwisko zmienił w latach 80.

Wcześniej nazywał się Lajos Kovacs.

III.

Ten trup wyglądał dużo gorzej, niż tamten pierwszy, wyłowiony z Wisły. Woda ma jednak dobroczynne działanie oczyszczające, przemknęło Maćkowi przez głowę. Smród był taki, że nawet myśleć się nie dało, zaburzał też postrzeganie. A może to leżący na powycieranym dywaniku człowiek stracił po śmierci wyraźne kontury? Rozebrany do pasa, obrzmiały, sino-szary. Bez tatuażu na piersi, bez śladów obrażeń. Łaziły po nim wielkie, czarne muchy, które musiały dostać się do pokoju przez uchylone w pionie okno. Razem z trzydziestostopniowym upałem rozkładającym ciało w trybie przyspieszonym.

Maciek wyszedł z pokoju, bo zaczęły wstrząsać nim torsje. Od razu jednak wrócił i dolną częścią koszulki powycierał kłamkę. Później krzesło, które odstawił pomiędzy wejścia a ciałą, kłamkę głównych drzwi do mieszkania. Coś wymyśli, jak dać znać policji, że w wieżowcu na osiedlu Oświecenia znalazł nieżywego stróża z wodnej elektrowni na Dąbiu. Ale gdy zaczną śledztwo, to pewnie wyda się, że wypytywał o niego...

Odkąd w kwietniu wdepnąłem pierwszy raz, co chwila przylepia mi się jakieś gówno do butów - aż pokręcił głową. Po rozmowach z Karoliną i Rafałem bynajmniej nie wracały do niego rozważania nad tajemniczą śmiercią i spalaniem Lajosa, wątpliwości czy to "ten" Lajos, myśli o synu, który zniknął, ich powiązania z barką, która w tym samym czasie popłynęła do Polski. Przypominały mu się psy. Pickles, a przede wszystkim - znaleziony nad Wisłą. Nie miał dzisiaj ani odrobinę większego zaufania do Jesionka, niż w maju, ale nie potrafił rozstrzygnąć jednoznacznie wątpliwości, dlaczego Waldek o tym wilczurze wiedział, a Mateusz nie. Nawijał Karolinie makaron na uszy, zgoda, ale nie ukrywał poszczególnych faktów, tylko starał się je kłamliwie wyjaśnić. Skoro wymyślił bajeczkę o samobójcy, to tym łatwiej znalazłby wytłumaczenie dla martwego psa. "Badania udowodniły, że zwierzak zdechł?". Waldek nie zostawił żadnych namiarów, powiedział, że go znajdzie, ale odkąd Maciek wrócił z Francji, nie pokazywał się na horyzoncie. Nie pójdzie go przecież szukać na Mogilską. Z Jesionkiem też nie miał ochoty się widzieć. Uznał, że spyta tego gburowatego ciecia znad zapory. Poszedł tam wczoraj wieczorem, ale służbę pełnił jakiś inny facet. - Marian od początku sierpnia na urlopie siedzi - zakomunikował rozpoznawszy kolegę po Maćkowym opisie. Zupełnie inny typ, niż tamten. Bez prośnienia podał adres, mimo że Maciej, stulał coś niezbornie o zagubionej w okolicy czapeczce baseballowej. - Może i on ją znalazł, ale pewnikiem już jej nie ma, tylko sprzedał za piwo. Teraz pan tam nawet nie idź, nie pogadacie se. Żona od niego odeszła, bo pił, to teraz pije co dzień, chyba że w robocie. Tu jeszcze się pilnuje. Lepiej jutro bez południe. I weź pan ze sobą butelkę zupy chmielowej na obiad, to od razu zyskasz pan jego przychylność.

Maciek miał ciągle to piwo w plecaku, kiedy uciekał z mieszkania, wysiadał z windy, schodził do wyjścia, mijał kota siedzącego przy piwnicznych drzwiach i maniackalnym gestem pocierającego pyszczek łapą. Nie był czarny, a jednak przyniósł mi pecha, pomyślał nonsensownie, gdy po wyjściu z bloku jeden facet wbił mu w plecy coś, co łudząco przypominało lufę pistoletu, drugi złapał go boleśnie za ramię. Wepchnęli go do stojącej naprzeciwko klatki dużej skody, która od razu ruszyła.

Na głowie miał kominiarkę bez dziur, nic nie widział. Nie jechali jednak długo i tylko początkowo kilka razy się zatrzymali, z czego wywnioskował, że znaleźli się niedaleko za miastem, po północnej stronie. W kominiarce wyciągnęli go z samochodu, wprowadzili do jakiegoś pomieszczenia, a kiedy ją zdjęli, zobaczył Waldka.

- Gość w dom i jak tam dalej - rozłożył teatralnie ręce. Oślepiony światłem, kompletnie nierozumiejący sytuacji Maciej mrugał oczami. - Nie chwytasz zagadnienia, co? Ale sądzę, że wkrótce się połapiesz. Jestem pełen podziwu, jak daleko zaszedłeś od kwietnia, kiedy znaleźliście przy brzegu Roberta, aż do dzisiaj. Uznałem, że trzeba to przerwać, póki nie dowiesz się wszystkiego i nie podzielisz się tym z glinami.

- Roberta?! Z glinami?! - potrząsał głową w oszołomieniu. Coś jednak zaczynało mu świtać. Tak naprawdę przecież wątpliwości na temat tego ironicznego faceta siedzącego naprzeciwko kielkowały już od pewnego czasu. Chyba nawet od dnia, kiedy Duvall tak dokładnie wypytywał o niego. - To syn Lajosa Kovacsa? Najpierw spaliliście ojca, a potem poderżnęliście gardło synowi? Duvalla też otruliście gazem w Paryżu?

- Co?! - tamten aż zerwał się z fotelika. - Znalazłeś Duvalla w Paryżu?! Ty jesteś, kurwa, niesamowity. Chyba że masz jakieś inne źródło, albo pracujesz dla kogoś silniejszego, o kim nie wiem. Ale tego zaraz się dowiemy, to tylko kwestia odpowiednich metod...

- Nie pracuję dla nikogo. Wpadłem na jego trop przypadkiem, gdy byłem w Bretanii. Przez tatuaż. Dostałem jego adres i odwiedziłem go w Paryżu.

- Daj mi ten adres.

- Obecnie nie znam. Następnego dnia po naszym spotkaniu przeprowadził się na cmentarz.

- Co?! Widziałeś to?

- Widziałem jak go wynosili, rozmawiałem z jego córką w zasmrodzonym gazem mieszkaniu.

- Poznałeś też piękną Marie? Dzisiaj pewnie nie jest już taka piękna.

- Według punktów odniesienia właściwych dla jej wieku - na pewno jest.

- No tak... Ładnie powiedziane - nie był już taki chłodny i opanowany. - A skąd wiesz o Lajosie?

- Wygrzebane w internecie. - Uznał, że nie będzie mówił o nikim, kto mu pomagał, włącznie z Karoliną.

- Twoja dziewczyna?

- Nie, ona jest w domu rodzinnym, tam nawet nie mają dostępu do sieci.

- Myślałem, że pojechała do Łańcuta, a nie do Kambodży. Ale wrócimy do tego.

- To wy spaliliście Lajosa? - Maciek starał się zmienić temat. O Duvalla nie pytał, bo zaskoczenie tamtego wydawało się szczere.

- Jego porąbany synek. Może uważał, że dzięki temu efektowniej pożegna ojca, albo skuteczniej zatrze wszystkie ślady? No to widziałeś, jak zatarł. Chciałem go nawet spytać o to, gdy nas wytropił tu w Krakowie, ale za bardzo parsknął i wierzgał.

- A ojca?

- Dasz wiarę, że też nie? Zszedł na zawal, kiedy złożyliśmy mu wizytę i zabraliśmy coś, czemu poświęciliśmy kiedyś mnóstwo wysiłku, a co jemu nie było już do niczego potrzebne. I nie miał pomysłu, co z tym zrobić.
- "Złotą Nike"?
- To nie było trudne. Coraz boleśniej jednak przekonuję się, że popełniłem w tej sprawie sporo błędów. Wydawało mi się, że zamrożenie statuetki przez rok na barce płynącej po Europie zgubi wszelkie pogonie. A już niszczenie tego tatuażu i podrzucanie kokainy stworzyło więcej tropów, niż zamaskowało.
- Poświęciliście temu mnóstwo energii. To wy ją ukradliście w Brazylii? I może wtedy w Anglii to też wy?
- No nie, nie rozpędzaj się tak. Popatrz dookoła, tu sami aktywni czterdziestoparolatkowie. Wtedy byliśmy dziećmi, dorastaliśmy w kraju wierzb płaczących, pastwisk i kapliczek przydrożnych. To te dwa świrusy próbowały zdobyć swoją upragnioną "Nike", a o efektach ich starań wie cały świat. Wyobraź sobie, że kiedy mieli ją już w hotelu zostali jeszcze raz okradzeni przez gościa, którego wzięli do pomocy/ A był tak tchórzliwy i głupi, że kiedy zobaczył, co ukradł, porzucił łup, ale potem - nie mając już statuetki - próbował zdobyć za nią okup. Najsprytniejszy w tym gronie był kundel.
- Duvall pokazywał mi zdjęcie. Wtedy był uwięziony w Afryce, nie mógł uczestniczyć w tej aferze.
- Znam to zdjęcie. Sam wymyśliłem, żeby je sfabrykować w 1982 roku, kiedy przygotowywaliśmy się do skoku w Rio i stary miał schizy, że zaczną się śledztwa i w końcu ktoś trafi do niego.
- Czyli w Brazylii to wy. Ale... Ale przecież tam kompletnie nie było śladów udziału innych ludzi, niż ci którzy zostali złapani i oskarżeni.
- A widzisz jakieś ślady naszej działalności w Krakowie? A przynajmniej takie, które by do nas prowadziły. Działam jak artysta: delikatnie i finezyjnie.
- Rozpierducha w Klinach jest tego przykładem.
- Nie bądź niewdzięczny, uratowaliśmy cię wtedy. Nawet policja się o niej nie dowiedziała. Puściliśmy cynk tutejszym bossom, że nie chcemy wojny. Zamkniemy nasze tutejsze sprawy i zwiniemy się bez śladu, oddając im opasłego burdeltatę.
- Więzicie Pokutalskiego?! Do tej pory?! Przecież to już prawie dwa miesiące!
- Zaraz tam: więzicie. Trzymam wieprzka w komórce, jak każdy dobry gospodarz. Zwrócimy go w jednym kawałku, może tylko bez kilkunastu kilogramów, bo korytko ma teraz bardziej dietetyczne, a do tej pory chrupkał chyba wyłącznie w fast foodach. Wyjdzie mu to na dobre, bo cycki miał już większe niż połowa jego panienek.
- Ukradliście "Złotą Nike". Po co? Sprzedacie ją jakiemuś pasjonatowi piłki, czy wyznawcy magii, wierzącemu w zwielokrotnioną emocjami siłę lapis lazuli?
- Po raz kolejny mnie zdumiewasz. Nie wyglądałeś na tak bystrego, kiedy zaczęliśmy ci się przyglądać w kwietniu. Za to korzyść jest taka, że mogę ci złożyć ofertę zatrudnienia.
- Dzięki, ale mam robotę.
- Tak orzą tobą i ile na tym wyciągasz? Z pięć tysięcy?
- Cztery.
- Tyrasz od rana do wieczora i nie zarabiasz nawet tysiąca euro miesięcznie?! Wyzysk jak w dziewiętnastowiecznych kopalniach węgla.
- Może ponegociujesz z moimi szefami z Warszawy? To są snoby, co chyba wynika z ich kompleksów. Na pewno poczują się dowartościowani, że poznali artystę przestępstwa.

- Robisz się beczelny, a to niezdrowo. W tej sytuacji przejdźmy do zasadniczej sprawy, dla której cię tu zaprosiliśmy. Obejrzyj sobie te zdjęcia.

Podsunał mu laptopa. Na kolejnych obrazkach Maciek z Karoliną przełazili przez płoty, usiłując dostać się do "Besady", wspinali się na "Armanda". Chyba robione teleobiektywem z daleka. Teraz on wchodzący do klatki w bloku na Oświecenia i - najwyraźniej uchwycone przez okno - wchodzący do mieszkania martwego stróża.

- Mój człowiek właśnie poszedł zdemontować kamerkę, która nagrała cię w pokoju razem z nieboszczykiem. A teraz popatrz na to.

Karolina wystawiająca jakiś garnek na parapet. Musiała przygotowywać jedzenie w kuchni, bo na głowie miała przepaskę przytrzymującą włosy.

- Jutro twoja Julia może wyfrunąć z tego okna. I nie będzie pod nim Romea, który by ją złapał, bo zostanie oskarżony o morderstwo i parę innych przestępstw. Ale nie o tym będziesz wtedy myślał, prawda? Tylko o miazdze, jaka została po tej ładnej, pyzatej dziewczynie. Wyobraź też sobie, jak nieszczęścia dzieci zniszczą wasze rodziny. - Bardziej przerażająca od tych słów była przemiana w wyglądzie Waldka; okrucieństwo zastąpiło kpinę w jego oczach i błazeński wyraz twarzy. - Możesz się zastanawiać trzy sekundy.

- Ale co? Mam dla was pracować? Przecież ja się do tego nie nadaję.

- Wiem, tamta propozycja to był żart. Nie potrzebuję sentymentalnych frajerów. Masz wykonać jedno zadanie. Od początku do końca: jeśli zrobisz fałszywy krok w jakimkolwiek momencie, albo rozprujesz się przed kimkolwiek, tamte groźby przestaną być groźbami. To jak?

- Dobbbbra. - Nie potrafił opanować szczękania zębami. W panującym upale czuł przechodzące go dreszcze. - Co miałbym zrobić?

- Prosta sprawa, pomożesz przetransferować do Madrytu swoją koleżankę, "Lady of the Victory".

- Co?! A czemu wy nie możecie jej przewieźć?

- Przez ostrożność. A nuż nasz kontrahent zechce sobie zrobić promocję i zabrać fanta bez płacenia? Byli też inni chętni, którzy przegrali licytację.

- Mam ją wziąć ze sobą?

- Nie, bo też możesz być namierzony, za długo kręcisz się wokół tego. Waflujesz się z piłkarzami Wisły, poproś któregoś z nich. Oni chyba nawet nie są kontrolowani na lotniskach.

- No jak, coś ty. Przecież...

- Nie zmuszaj mnie, żebym którąś z groźb uprzystępniał ci poprzez realizację!

- Dobrze, już dobrze. Myślę, że znajdę kogoś takiego.

- Nie miałem co do tego wątpliwości. Ma być zaufany, żeby nie korciło go sprawdzenie, co jest w środku opakowania. Zresztą statuetka będzie zamknięta nad kod, w pudełku praktycznie pancernym. Musisz dogadać się z nim jak najszybciej, dyskretnie. Najlepiej, żeby wziął to już teraz, nawet przed pierwszym meczem i trzymał u siebie w chałupie. A potem odbierzesz to od niego w Madrycie. Ja nawet nie muszę wiedzieć, kto to będzie. A tu, na dowód naszego zaufania i żeby nie zżerała cię ciekawość, która już parę razy przysporzyła nam kłopotów, dam ci coś do potrzymania. Podszedł kumpel Waldka, którego widywał z nim najczęściej, niosąc wielkie etui. Po otwarciu, wśród miękkiej wyściółki ukazała się figurka, którą tyle razy oglądał na zdjęciach i w wyobraźni. 32 centymetry, 3.8 kilo, przypomniał sobie, biorąc ją do ręki. Złoto górnej części nieco pociemniało, mocniejszy był niebieski kolor podstawy, poprzeplatany jasnymi żyłkami. Na złotej tabliczce widniał wąski napis, rozbity na sześć wersów, przedzielonych kreską:

COUPE DU MONDE

DE
FOOTBALL
ASSOCIATION

—
COUPE
JULES RIMET

IV.

Radio w barze Maryna" wyśpiewywało nieskomplikowany refren: "Ma-ia-hii/Ma-ia-huu/Ma-ia-hoo/Ma-ia-haa". Za to główną pozycją w menu było dzieło sztuki. Odrobinę tłustawe żeberka, porządnie wypieczone. Do tego ziemniaczki i surówka z młodej kapusty, lekko związana śmietaną, mocno przyprawiona pieprzem.

Można by częściej detonować takie bomby cholesterolowe i w końcu zapomnieć o wszystkim, pomyślał Maciek. Najmilszy możliwy sposób trwałego oderwania się od rzeczywistości. O układzie z Waldkiem nic nie powiedział Karolinie, do której dzwonił przedwczoraj. Tomkowi - tym bardziej nie. Czuł, że przekroczył jakąś granicę.

Po obiedzie, a przed wyjazdem na stadion miał odebrać pakunek ze "Złotą Nike". Kandydat na kuriera był dla niego oczywisty od początku, tylko nie chciał, żeby aż tak wyraźnie zobaczyły to te bandziory. Emanuel Kiwomba, 20-letni napastnik z Gwinei, od roku błąkał się gdzieś pomiędzy ławką, drużyną rezerw i coraz bardziej ciążył ku wypożyczeniu. Jeszcze jesienią parę razy załapał się do składu, kiedyś nawet strzelił gola i Maciek zrobił z nim wywiad do "Kroniki". Zresztą pisał o nim już wcześniej, kiedy go testowano podczas letnich przygotowań. Może tym zdobył sympatię wiecznie uśmiechniętego chłopaka, może pogawędkami, które ucinali sobie kilka razy po treningu, a może drobnymi przysługami, jak kupno na zgrupowaniu we Francji karty telefonicznej ("Obok hotelu tego nie mają. To tak jak u was tele-grosik, tylko można na nią dzwonić akurat do Afryki"). Ema potraktował jego prośbę o przewiezienie ważnego pakunku, jakby była to podobna duperela. Maciek tłumaczył, że to zabytkowa pamiątka po dziadkach, którą chce sprzedać w specjalistycznym antykwariacie w Madrycie, gdzie może wziąć dobrą cenę. Potrzebuje pieniędzy na zamianę mieszkania, a boi się, że celnicy na lotnisku nie pozwolą mu tego wywieźć.

- Nie psiejmuj się. Ty mój psijaciel, plawie blat. Ja to żłobię dla ciebie. - Nawet kaleczona polszczyzna pasowała do jego niezmaczonej pogody. Maciej był spokojny, że Gwinejczyk nie będzie miał przez niego problemów. Bagaze drużyn sportowych, zwłaszcza podczas wypraw samolotami czarterowymi, prawie nie były kontrolowane. Najlepszy dowód to głupawy dowcip, jaki półtora roku temu piłkarze zrobili fizjoterapeucie podczas podróży na obóz do Holandii. Włożyli mu do torby magazyn hard porno i metalowe nożyce do cięcia drutu, licząc, że uruchomią one alarm na bramkach, a Grzesiek będzie się czerwienił, kiedy strażnicy wyjmą bogato ilustrowane pismo. Tymczasem przewiózł wszystko bez żadnych sensacji, a niespodziankę odkrył dopiero rozpakowując się w hotelu.

Po zupie ogórkowej z ryżem, która służyła tylko roznieceniu apetytu, wzięli się do żeberek. Prawie się nie odzywali, żeby nie tracić stosownego skupienia. Zapisali wspólnie bodaj ćwierć dzisiejszej gazety. Zaczęli już przedostatniej nocy, tekstami, które można było przygotować z wyprzedzeniem, a wczoraj, jak wsiedli na karuzelę rano, tak zsiadli z niej późnym wieczorem, na imprezie w "Krypcie". Lotnisko, trening Wisły, konferencja Camacho i Raula, trening Realu. Z tego wszystkiego najlepiej wyszedł wywiad z Gilewskim, o sztuce motywacji i mobilizacji. On świetnie

odnajdywał się zarówno na płaszczyźnie humorystycznej ("Kiedy zaczynam gryźć framugę drzwi, wszyscy wiedzą, że czeka nas ważny mecz"), jak refleksyjnej ("Przed niektórymi spotkaniami wręcz nie należy dodatkowo się motywować, żeby nie >przekręcić< w drugą stronę"). Różniło się to znacznie od rytualnego "To tacy sami ludzie jak my", które usłyszeli kilkakrotnie z innych ust. Maciek tak się utyrał, że wieczorem na imprezie odpłynął po dwóch drinkach. Kiedy wybudził go z drzemki Tomciara, starczyło im akurat energii i rozsądku, żeby zabrać się razem do taksówki, która odwiozła ich do własnych łóżek. Dzięki temu, mimo dręczących go problemów, był dzisiaj wypoczęty, bez śladów kaca, z dobrym apetytem.

- Dzwoniłem wczoraj do twojego ulubionego kierownika krakowskiego oddziału "Kroniki Sportowej". Wprawdzie żyje już igrzyskami, ale pogadaliśmy długo i szczerze. - Tomciara oparł się na krześle, wycierając usta chusteczką.

- Przejąłeś interes po Kondziu? Który notabene jakiś smutny chodzi, pewnie czuje, że traci miejsce przy piersi szefa.

- To potwarz!

- W potwarz to możesz dostać, za nielojalność.

- Tak gadasz wPorzo, ale jak cię znam, to odkąd opuściłeś podstawówkę nigdy nikogo nie uderzyłeś.

- To prawda, ale raz byłem blisko. Gość na rowerze prawie wjechał we mnie na przejściu dla pieszych. Wyhamował, ja odskoczyłem, a na moje pretensje odpowiedział pokazując środkowy palec. Wtedy chciałem mu przyłożyć.

- Ze względu na treść czy formę przekazu?

- Ze względu na estetykę - miał brudny paznokieć. Ale nacisnął na pedały i odjechał. Po co dzwoniłeś do Gromka?

- Bo zapomniał o delegowaniu władzy na czas swojej nieobecności. Nie wiadomo, kto ma organizować choćby to głupie zgłaszanie tematów. A przede wszystkim - rozdzielać pracę. Ostatnio było to proste, bo i tak 90% materiałów szło o Wiśle, robiliśmy to wspólnie, więc nie było sensu oglądać się na innych. A niedługo praca porozkłada się na wiele frontów, a jak jeszcze ty pojedziesz do Madrytu, to co - mam kazać Pawłowi czy Konradowi, żeby na przykład zrobili zapowiedź Cracovii? Albo obsługiwali ze mną mecz?

- I co Gromuś odparł?

- Owszem, mam im wydawać polecenia, a on zadzwoni jeszcze do nich, że mają się słuchać. I tu uważaj: dodał, że kiedy ty będziesz - mamy decydować wspólnie. Ceni cię, najwyraźniej.

- To bardziej rozczulające niż te żeberka. Powiedziałaś mu o pomysle twojego wyjazdu do Madrytu? - Maciek był już wcześniej wyznaczony na korespondenta z meczu rewanżowego. Wszystko odbywało się na koszt redakcji. Kilka dni temu okazało się, że poza tym sponsor Wisły zorganizuje wyjazd dla dziennikarzy największych gazet: zapłaci za bilety na samolot, hotel, wyżywienie. Dlaczego miałyby tego nie wykorzystać również "Kronika", a przede wszystkim - Tomciara, który urobił się przez te dwa tygodnie po łokcie.

- Nie powiedziałem. Słuchaj, wPorzo, nie piszę się na to. Wiesz, miałem na studiach takiego doktora od retoryki i gatunków dziennikarskich. Na każdych zajęciach mówił, że ten zawód to misja. Coś jak redaktor Kowalski. No i pewnego dnia ten doktor Machowski stwierdził, że sponsorowany wyjazd dziennikarza jest tym samym, co rola utrzymanka starszej pani. "Pani wozi ze sobą chłopaczka w fajne miejsca, kupuje mu prezenty i daje pieniądze za to, że ten robi jej dobrze". A to było w ubiegłej dekadzie, kiedy taki sponsor rzucał parę złotych na pokrycie kosztów,

a za to obok korespondencji ukazywała się malutka reklama: "Wyjazd doszedł do skutku dzięki firmie X". Ciekawe, co by powiedział na tę wycieczkę do Madrytu?

- Kurde. Wydaje mi się, że wszelka ortodoksja jest niewłaściwa. To kwestia zakreślenia wyraźnych granic. Pamiętaj, że ja miałem teraz we Francji wypożyczony od dealera samochód, też przy moich tekstach ukazywała się reklama: "Jeździmy dzięki i tak dalej". Ale w żadnym tekście nie napisałem ani słowa o tym dealerze, ani marce renault. I nie zamierzam. Choć pewnie według standardów doktora Machowskiego też byłem utrzymankiem?

- Ja prosty chłopak z Gorlic, to dla mnie zbyt skomplikowane. Poza tym nie mam ochoty po jedzeniu aż tak się wgłębiać w rozważania etyczne. Jak mówisz: wszystko jest kwestią granic, a tutaj zostały daleko przekroczone, bo funduje to sponsor Wisły i nawet jeśli nie piszesz o sponsorze, to piszesz o klubie, który jest dla niego nośnikiem reklamowym. I już nie tylko wymowa, ale nawet ilość twoich tekstów jest dla niego ważna. Pamiętasz, te opowieści norweskich dziennikarzy, których poznałem w listopadzie w Oslo?

- O dniach wolnych, zarobkach, specjalnych dodatkach na wyjazdy zagraniczne? Pamiętam, wątroba bolała mnie aż do styczniowego wyjazdu na skoki do Zakopca, po którym zaczęła mnie boleć już z innego powodu.

- Tego ochleju nawet nie przypominaj. W każdym razie to jest najzdrowszy układ i prawdziwa niezależność. Gwarantują ją po prostu pieniądze. Własne.

- Tak się składa, że mówisz o jednym z najbogatszych krajów europejskich. My jesteśmy gdzie indziej pod względem materialnym, więc gazety duszone przez telewizję i internet szybciej będą się u nas zwijać, niż tam. Obawiam się, że w przyszłości będziemy oddawać się każdemu, za grosze, a nikt nie będzie dostrzegał różnicy pomiędzy tekstem dziennikarskim a reklamowym.

- Pokrzepiające. Potrzebowałem czegoś takiego przed dzisiejszym meczem.

Położona w Podgórzu, tuż za Wisłą, "Maryna" była kiedyś najpopularniejszą medialną jadłodajnią Krakowa. Dwie przecznice dalej mieściły się redakcje "Rekordu" i "Echa", ze swojej góry schodzili pracownicy lokalnej telewizji. Do tego u wylotu mostu Piłsudskiego był bar "Hitchcock", gdzie po zaimpregnowaniu żołądków tłuszczem żurnaliści konsumowali alkohol w ilościach przemysłowych.

Potem jednak obie gazety przeniosły się do większej siedziby przy rondzie Kotlarskim, "telewizory" też się wykruszyły, więc pozostali tylko najzagorzalsi wielbiciel domowej kuchni pani Marii i jej męża (żeberka nie były jedynym przebojem na liście, a porcje miały rozmiary epickie, żeby wspomnieć choćby schabowego zajmującego 80% talerza). Ciągle też pojawiali się lepiej prosperujący sklepikarze z Kalwaryjskiej oraz gracze z kolektury bukmacherskiej mieszczące się w hali Korony. Właśnie dołączył do nich Szymon, uroczy gaduła i wielbiciel wieprzowiny. Żyd, którego jako młodego chłopaka ojciec wywiózł do Izraela, ale który wrócił stamtąd po ćwierćwieczu z niejasnych powodów. Utrzymywał się z wygranych i czynszów za podnajem pokoi w odziedziczonym domu, w którym mieszkał.

- Wiecie, że dali kurs 1.75 na zwycięstwo Rosenborga z Maccabi Hajfa? Biegałem dzisiaj po całym mieście i stawiałem po dwieście złotych we wszystkich kolekturach, bo nigdzie nie chcieli mi przyjąć większego zakładu. Zawsze wam powtarzam: musisz znaleźć okazję i wtedy grubo! - przyszedł najpierw przywitać się z nimi. Admirował ich jako dziennikarzy sportowych, którzy kiedyś zapewnią mu wymarzony "złoty cynk".

- Tak przeciwko swoim? - spytał Maciek.

- Ja ich pieprzę. Za to przeciwko Wiśle nie stawiałem, bo coś mi tu śmierdzi - nie ściszał głosu

pasującego do jego potężnej sylwetki i sumiastych wąsów.

- Będzie remis, tak czuję. - Odezwał się trzydziestolatek niedawno przyjęty do stolika graczy. - Postawiłem na to stówkę.

- To przynajmniej mniej stracisz.

- Zobaczymy. Zawsze zaczynam od stu, a jeśli się nie uda, to podwajam. W następnym zakładzie, żeby się odkuć, stawiam dwieście, jeśli znowu nic, to czterysta.

- A potem osiemset? - zaciekawił się Tomek.

- Jeszcze mi się nie zdarzyło. Zawsze najpóźniej przy czterystu wychodziłem z wygraną.

"Złotą Nike" (nawet nie widać było pancernego, otwieranego na kod, pudełka, bo spoczywała jeszcze w brezentowym, zaszytym pokrowcu), podrzuconą przez blondyna-nałogowego palacza, włożył do torby na laptopa, a komputer przeniósł do plecaka. Nawet nie dla zmylenia śladów, ale żeby nie tracić z nią kontaktu. Niósł torbę na ramieniu i przyciskał do tułowia łokciem, a teraz - siedząc na miejscach prasowych - trzymał ją między łydkami. Emocje, jakie odczuwał w związku z tym, że ma tylko dla siebie coś, co przewróciło jego życie w tym roku, zupełnie przyćmiły te sportowe. A na boisku wiślacy dzielnie stawiali się Realowi. Nawet można było sobie wyobrazić, że Bangura, Parada albo Bogusławski strzelają gola, gdyby trochę inaczej rozwiązali sytuację pod bramką. Nie przeczuł jednak, że nadchodzi rozstrzygnięcie, kiedy Morientes stał przy linii, szykując się do zmiany.

- Ale to niesprawiedliwe, tak ładnie walczyli - jęknął Jacek, gdy na tablicy zaświeciło się 0:2.

- Sprawiedliwość jest tylko w piekle, w niebie jest miłosierdzie, a na ziemi krzyż. Musicie go dźwigać, wy, kibice "Białej Gwiazdy", najjaśniejszej z gwiazd - to było "Kurde, szkoda" w wersji Tomciary. - Niestety, nie ja to wymyśliłem, tylko Gertrud von Le Fort.

Dla kontrastu, dzisiaj niewiele mieli do zrobienia. Mecz zaplanowano późno, a ze względu na reklamy, poświęcone mu strony musiały się ukazać w identycznym kształcie we wszystkich wydaniach. Maćkowi było to na rękę, bo po przygotowaniu paru "boczków" mógł zwinąć warsztat, a zamiast gonić na konferencję czy polować na rozmówki, wyczekiwał na stosowny moment, by bez świadków przekazać Emanuelowi statuetkę. Wysłał mu sms-a, żeby podszedł za załom muru, na lewo od wejścia do budynku. Tam przełożył szybko pakunek do jego wielgachnej sportowej torby, jeszcze raz prosząc go o dyskrecję i opiekę nad nim. Gwinejczyk widział, że nerwowo rozgląda się dookoła, ale nie skomentował tego.

- Być spokojny. - Błysnął zębami, a odchodząc jeszcze odwrócił się i pomachał mu.

Maciek rzeczywiście uspokoił się, przerzucając ciężar na kogoś innego i swobodnym spacerkiem, o północy, ruszył piechotą na Obopólną. Kiedy nawykowo nacisnął klamkę lewą ręką - drzwi otworzyły się, zanim prawą wsunął klucz do zamka. Potknął się o coś w przedpokoju. Po pstryknięciu kontaktem okazało się że to porozrzucane buty, dalej kurtka i rzeczy wydarte z pawlacza. Nie przyjmując tego w pełni do świadomości, zrobił kilka lunatycznych kroków do pokoju, gdzie nie było skrawka wolnej podłogi. Spoczywała na niej zawartość szafy na ubrania, półek z książkami i kasetami magnetofonowymi. Paprotka, którą zostawiła mu mama, żartując, że to dla ćwiczenia obowiązkowości i systematyczności, została wydarta z doniczki, ziemia wysypana. Materac zdjęty z prostego, ramowego łóżka i rozpruty, podobnie poszewka kryjąca koc oraz schowana na lato do wielkiej szuflady pod szafą kołdra. Jak cukier puder niedzielne ciasto, wszystko przykrywała cienka warstwa piór z poduszki. Niektóre unosiły się w powietrzu, podniesione podmuchem, kiedy przechodził. W kuchni zalegały sztucce, potłuczone talerze,

wysypany z torebek cukier i ryż. Maciek zajrzał jeszcze do łazienki, gdzie pole do popisu wśród przyborów toaletowych było mniejsze, za to zdjęto pokrywę ze spluczki i kompletnie ją rozmontowano. Wrócił do pokoju, opadł na podłogę i tak tkwił przez godzinę, jak katatonik.

V.

Ciepło marmurowego murku, na którym siedział, działało uspokajająco. O dziesiątej wieczorem, po całodziennym upale, ciągle było ze trzydzieści stopni. Światła okalających placyk latarni załamywały się w okrągłych koronach niskich drzewek i położonej pośrodku fontannie. Dzieci się bawiły, dorośli rozmawiali, palili papierosy, popijali z butelek i puszek. Pod ścianą starego kamiennego kościoła siedziało na ziemi kilkanaścioro sympatycznych obdartusów i na gitarach oraz akordeonie grało od ponad pół godziny dzikie melodie.

Iglesia de San Andres - przypomniał sobie nazwę kościoła odczytaną z tabliczki umieszczonej po drugiej jego stronie, skąd nadszedł. W kinie pod gołym niebem wyświetlano tam czarno-biały film, ruszył jednak dalej i tu znalazł przystań. Mimo zmartwień ostatnich miesięcy, odczuwanego codziennie od dwóch tygodni strachu, wariactw dzisiejszego dnia, teraz czuł się beztrosko i miło. Od przebudzenia jego nastroj wędrował po sinusoidzie, zresztą dwie podróże samolotowe nie mogły wywoływać niczego innego. One akurat minęły w miarę łatwo, poza chwilowymi turbulencjami nad Szwajcarią, akurat kiedy podali obiad. Wydawało mu się, że przynajmniej do wypełnienia "dwóch super kolumienek" jest dobrze przygotowany. Nabierał sporo ciekawostek o Madrycie i Santiago Bernabeu, które mógł wrzucić do reportażu, podobnie jak wypowiedzi Diego, grającego tu kiedyś z reprezentacją juniorów Urugwaju. No i zrobił przed wyjazdem duży wywiad z Bartłojem Markowskim, rozgrywającym inteligentnym nie tylko w podaniach.

"Na zachodzie piłkarze dostają chyba więcej swobody. Mieliśmy przykład z Figo. Pięć razy przegrał pojedynek z Drazenem, a mimo to szósty raz "pojechał na wydrę" - zupełnie tak samo. I tym razem go "skręcił", i bramkę wypracował. A w Polsce - może akurat nie u Romańskiego - gdy dwa razy zepsujesz, trener krzyczy z boku: "Dziesięć minut ci zostało na pokazanie swojego oblicza!" - dzielił się refleksjami Bartek. Choć w pytaniach o szanse w rewanżu już trochę popłynął.

- Możesz wejść do szatni i powiedzieć: "Jedziemy 2:0 z Realem, a potem dogrywka"?
- Pewnie, to są tacy sami ludzie jak my. Gdybym nie wierzył, to nie wsiadałbym do samolotu do Madrytu.

Maciek wyglądał zdania podczas dwugodzinnego oczekiwania na lotnisku w Monachium, gdzie bardzo smaczną kawę można było dostać w automatach za darmo. Kiedy jednak czekając na bagaż na Barajas włączył telefon, okazało się, że ma w laptopie tekst w postaci Dead on Arrival - zmarły w chwili przybycia. "Maciek, słuchaj, jest dramat, Markowszcak nie poleciał z Wisłą, okazało się, że ma kontuzję przywódciciela. Już wczoraj go bolało po treningu, tylko się nie przyznał, a wieczorem lekarz podjął decyzję, że nie może zagrać" - nagrał mu się Konrad, którego wyprowadziło z równowagi raczej osłabienie ukochanej drużyny.

Udało się wypełnić wszelkie dziury, tyle że prawie wszystkie artykuły zsyłał dopiero późnym wieczorem, po treningu na Santiago Bernabeu, czym wziął do galopu grafików w redakcji w Warszawie.

Leniwie rozmyślając, zauważył, że przygląda mu się jakaś starsza kobieta, przysłonięta częściowo rozproszoną wodą z fontanny i połyskującym w niej światłem. To trochę jak z jazdą samochodem. Pierwszej zimy po zrobieniu prawka nie potrafił zbyt wiele, ale jeździł bez obaw, ślizgając się czasami na śniegu czy lodzie. Dopiero gdy parokrotnie znalazł się w rowie, a raz wbił

prawym nadkolem w barierkę na mostku, aż musieli mu pomagać w odczepieniu się od niej - zaczęła działać wyobraźnia, produkująca lęki. Tutaj to poszło dużo dalej. Teraz na pewno nie wybrałyby się do "Besady" tak jak w kwietniu z Karoliną, czy do mieszkania stróża. Chwilami bał się nawet własnego cienia. W gorszym stanie ducha zebrał się do hostelu. Na skraju peronu w metrze facet ćmił papierosa. W Madrycie było, jak w starym filmie - prawie wszyscy mężczyźni mieli wąsy i palili.

W "Hostal Lopez" warunki tylko trochę gorsze, niż w "Bursie Jagiellońskiej" - zamiast szafy wieszaki na ścianach, umywalka nie zmieściła się w łazience, więc przywieszono ją w pokoju, pod oknem wychodzącym do studni zamkniętego ścianami podwórka. Nie było też klimatyzacji, za to przy suficie obracało się trójramienne śmigło. Niezły patent, o czym przekonał się już rok temu, kiedy w nie większym pomieszczeniu, we Frejus na Lazurowym Wybrzeżu, spędzili znośnie noc z Michałem i Jackiem. A przynajmniej nie przeziębili się człowiek od tej cholernej zamrażarki. Taka jedyńska w "Hostal Lopez" kosztowała 30 euro za dobę. Mimo to chłopaki z "Info", kiedy im o tym opowiadał, patrzyli na niego jak na oferwę. Oni mieli pokój za ponad stówkę, po mieście jeździli taksówkami, a nie metrem. W pięciogwiazdkowym hotelu mieszkali również dziennikarze zabrani na wycieczkę przez sponsora. Maciek też mógłby sobie znaleźć coś dużo droższego i redakcja rozliczyłaby ten rachunek bez szemrania, ale zawsze uważał - do czego nigdy się nie przyznał, bo z gamonia zostałby przekwalifikowany na wariata - że byłoby to marnotrawstwo. Po co mu luksusy, skoro tu jest wygodnie, a w ciągu pięciu minut, szybszym lub wolniejszym krokiem, można dojść do Prado, Puerta del Sol lub Plaza Major? Sama uliczka w starej części Madrytu, przy której mieścił się hostel, była oryginalna, z hiszpańskojęzycznymi wierszami wyrytymi na wąskiej, brukowanej jezdni.

Poza tym wychodził z założenia, że skoro dobrze zarabia na takich delegacjach, to powinien też dać coś od siebie. Na wyjazdach do krajów zachodniej Europy przysługiwała - poza zwrotem kosztów hotelu i podróży - dieta 45 euro za dobę, wypłacana co do centa przez "Kronikę", bez wnikania, czy hotel oferował w cenie śniadania (wtedy powinna być pomniejszona o 30%). Dzięki temu, bez specjalnego umartwiania się, czy oszczędzania, nawet z tak krótkiego wypadu, jak obecny, można było przywieźć z powrotem 200-300 złotych, a udział w zgrupowaniu do Francji to już zarobek znacznie ponad 1000 złotych. Wyjazd zagraniczny przynosił więc niekiedy powiększenie pensji o 1/4, a nawet 1/3.

Trzema kluczami otrzymanymi na dużym kółku podczas kwaterowania dzisiaj po południu otworzył kolejno zewnętrzne drzwi kamienicy, drzwi na piętro i do pokoju. Zapalając światło odniósł niejasne wrażenie, że ktoś tu był i grzebał w jego rzeczach, ale nie znalazł na to konkretnego dowodu - nic nie zginęło i chyba nic nie zmieniło miejsca. W południe, spiesząc się, porozrzucił bezładnie część ubrań i zostawił wybebeszoną torbę. To tylko uraz po tamtym włamaniu, po którym jeszcze nie udało mu się naprawić wszystkich szkód. I które pozostawało niewyjaśnione. Waldek, kiedy następnego dnia mu o tym zameldował, wyglądał na lekko zagubionego. Poleciał, żeby statuetka jak najdłużej była u Kiwomby, a Maciek odbierze ją po rewanżu, kiedy wiślacy będą odjeżdżać ze stadionu na lotnisko.

VI.

Na Santiago Bernabeu, gdzie z każdego zakamarka wyzierała jakaś legenda futbolu, gdzie czuć było romantyzm dawnych czasów i marketingową potęgę nowych, zachowywali się jak dzieci. Porobili sobie zdjęcia na tle niebieskich trybun z białym napisem "REAL MADRID CF",

zajmującym jedną z czterech kondygnacji. Długo przed pierwszym gwizdkiem wykorzystali kupony do cateringu; wyfasowali gustowne papierowe torebki i wyjedli ich zawartość: drożdżowy pasztecik z mięsem plus ciastko czekoladowe, popijając napojem pomarańczowym z puszki. Maciek prawie cały dzień spędził w Prado, zwiedzając, bądź przesiadując w kafejce. Uznał to za najbezpieczniejsze, wokół przewijał się tłum turystów. Wiedząc, że pojedzie do Madrytu powtórzył sobie "Szachownicę flamandzką", którą połknął cztery lata temu wśród kilku innych książek Pereza-Reverte. Jej bohaterka, Julia, też czuła się osaczona w tych korytarzach, tyle że w nocy, w puściuteńkim muzeum. Wstrząsnęło nim, kiedy odczytał z tabliczki, że obraz, w który od dłuższej chwili wpatruje się z fascynacją, to "Triumf śmierci" Breugla, ten sam, przy którym piękna konserwatorka sztuki przeżywała swoje lęki.

Teraz czekała go plaża; mecz kończył się na granicy deadline'u, więc relację robiono z telewizji w warszawskiej redakcji. Miał wysłać w przerwie zaledwie kilka "kulek", które zawczasu sobie przygotował. Przysiadł się do niego Kumar Sana, Hindus, facet z ciekawym życiorysem, choć w opowieściach odrobinę mitoman, o którym Maciek przed rokiem napisał duży tekst. Jako nastolatek przyjechał do Polski, skończył stomatologię w Lublinie, jego gabinet niedaleko Kolbuszowej cieszył się dużym wzięciem wśród mieszkańców okolicznych wiosek, co zadawało kłam pogłoskom o ksenofobii panującej na Podkarpaciu. Mocno śniady, błyskający brylancikami w uszach, Kumi mógł do woli grzebać im w zębach i jeszcze sporo za to płacili. Potem postanowił zostać kucharzem, przeniósł się do Krakowa, pracował w dobrej restauracji przy Sławkowskiej. Chyba bardziej dla odgonienia rutyny niż dla zysku - parał się też menedżerką. Współpracował z kilkoma agencjami, pilotując w Polsce ich piłkarzy z Afryki (wśród indyjskich nie miał pola do popisu...). No i potrafił się wszędzie wkłęcić. Na ten mecz dostał akredytację, o którą wnioskowało się za pośrednictwem krakowskiego klubu.

Przegadali całą pierwszą połowę, a w dole Figo tym razem kręcił Drażeniem jak chciał. Nie wystarczy jednak być bałkańskim chojrakiem, trzeba mieć jakieś piłkarskie argumenty. Drago nie bał się nikogo, a myślał gruczołami. Niedawno chwalił się, że po dwóch pierwszych porażkach na olimpiadzie zadzwonił do trenera, który nie zabrał go do reprezentacji, i mu nawymyślał.

Kiedy w 85. minucie Pavon strzelił na 3:0, zaczął urągać wiślakom Dębiec: - Real sobie sparing urządził. Jedyne, co ich kosztował ten mecz, to zniszczona murawa, napoje i parę brudnych ręczników. A pacholki same przyjechały i rozstawiły się po boisku.

Dwulicowy, żaloszny fagas, który na co dzień podlizywał się piłkarzom. Na szczęście, przymknął japę, kiedy padł honorowy gol dla Wisły.

Zaimprovizowaną strefę mieszaną urządzono na przystadionowym parkingu. Piłkarze idący do autokaru zatrzymywali się przy taśmie, za którą stali dziennikarze. Piłkarze Wisły, bo ci z Realu wyjeżdżali wprost z podziemnego parkingu. Właśnie zahaczało obok nich czerwone ferrari z Morientesem za kierownicą, a jakiś kibic biegł za nim póki nie zniknęło mu z oczu. Kiedy pojawił się Emanuel, schowali się za filarem do którego przypięta była taśma. Maciek starym sposobem schował pakunek do torby na laptopa, którego zawczasu przełożył do plecaka.

- Powodzenia! - powiedział Gwinejczyk. Z niepokojem? W tej chwili podszedł do nich Kumar. Musieli być obserwowani, bo Maciek usłyszał piknięcie sms-a. "Przejdź za róg w lewo, potem jeszcze raz w lewo". Minął dwie wieże w narożnikach monumentalnej budowli, a w ślad za nim wyjechały dwa czarne bmw. W drugim z nich uchyliły się tylne drzwi, a kiedy wsiadł, siedzący przed nim, za kierownicą, Waldek warknął: "Zatrzaśnij je, szybciej!" i ruszył zrywem, nie patrząc,

czy Maciek wykonał jego polecenie. Na rondzie obydwa samochody wykręciły w prawo, ciągle przyspieszając, a potem już wydarzenia następowały z gwałtownością rajdów skrzydłami Figo i Roberto Carlosa.

- Masz "Nike"? To trzymaj ją na razie przy sobie! Musimy się trochę pokręcić po okolicy, bo chyba ktoś chce się z nami zaprzyjaźnić - rzucił mu przez ramię Waldek, a obaj jego towarzysze wyglądali na poruszonych. Gnali za tamtym bmw, gdzie siedziało czterech jego ludzi, budynki tylko migwały za oknami. Zresztą było ich coraz mniej.

Nagle poprzedzający ich samochód rozbłysnął w wybuchu i już w postaci kuli ognia skosem poleciał w kierunku zewnętrznych barierok drogi.

- Co jest, kur...!! - krzyk faceta siedzącego obok Maćka przerwał kolejny huk, dochodzący z prawej strony ich auta. Wstrząs, poślizg, wirowali, przeokożkowali i z potwornym łupnięciem wylądowali w wąskim pasie pomiędzy jezdniami, tyłem do obranego wcześniej kierunku.

Szum w uszach, ból karku, w głowie trzaski, jak z radia, które nie może złapać zakresu. Półleżał, pierś przygniatał mu jakiś ciężar. Otworzył oczy. Klęczał na nim jego sąsiad, od pasa w górę wystający przez boczne okno. Z przodu dochodziły jęki i ciche przekleństwa. Zrzucił nogi tamtego i podsunął się na siedzeniu wzwyż. Musiał coś naciągnąć, bo szyję przeszywały mu jakby rozżarzone wrzeciona. To nie pasażer na prawym fotelu wydawał te odgłosy. Niemal w całości spoczywał na masce, w kabinie sterczał tylko fragment lewej nogi pozbawionej buta. Prawa, również w powietrzu, była odgięta do wnętrza ciała. Ale nie poruszał się, więc raczej było mu to już obojętne.

- Co z tobą? - spytał Waldka. Jako jedyni mieli zapięte pasy.

- Złamałem nos o kierownicę. Krwawię jak świnia - powiedział niewyraźnie.

Pisk hamulców, padł na nich cień dużego pojazdu, z którego wyskoczyły dwie sylwetki. Jedna złapała Waldka za włosy i przytknęła mu pistolet do twarzy, druga wyciągnęła spoczywający nad Maćkiem tułów. Usłyszał głucho puknięcie, któremu towarzyszył rozbłysk. Strzelił do niego?! Dobił go? Strzelił do trupa!? Szybko otrzymał odpowiedź na swoje pytanie; przez fragment przedniego okna, jak na kinowym ekranie, zobaczył, że tamten podchodzi do rozciągniętego na masce człowieka, kieruje w dół lufę zakończoną cylindrem. Takie samo puknięcie i towarzyszący mu rozbłysk.

Obie postaci miały na twarzach maski zwierząt domowych. Pierwsza, drobniejsza, kryjąca się za kotem, otworzyła przednie drzwi i wyciągała Waldka za włosy. Ta druga, schowana za pyskiem psa, wilczura, utykając obeszła wrak i skinęła lufą z tłumikiem na Maćka, dając mu znak, żeby wychodził. Akurat nadjechał żółty samochód i przyhamował, myśląc, że są ofiarami wypadku, ale "Pies" podniósł pistolet, celując doń, więc tamten natychmiast uciekł.

Pociągnęli ich do furgonetki, wrzucili na tył, wsiadając za nimi. "Pies" uderzył trzykrotnie pięścią w ściankę dzielącą ich od kabiny kierowcy i ruszyli. W oddali słyhać było syreny policyjne.

Szybko ich przeszukali, okazało się, że Waldek nie ma broni. Torba i plecak Maćka, których nie zdjął ani na moment wsiadając do bmw, wylądowały na podłodze. Pysk wilczura podniósł się i pod nim ukazała się twarz Jeana Duvalla, z siwymi brwiami nastroszonymi bardziej niż poprzednio.

- To pan?! - Maciej aż wrzasnął. - Przecież pan nie żyje, zatroł się pan gazem!

- Nie tak łatwo zabić na śmierć spadochroniarza Legii. Tak przeczuwałem. - Głos Waldka był niemal żartobliwy. - Za chwilę usłyszysz, że wysadzał mosty w Indochinach, kiedy nas jeszcze nie było na świecie i to będzie wyjaśnienie wypadku sprzed chwili. A obok mamy zapewne piękną Marie?

- Ty skurwysynu! - wysyczała córka Duvalla spod zdejmowanej maski kota. Maćkowi zaświtała myśl, że to ona, ucharakteryzowana na staruszkę, musiała go śledzić wczoraj wieczorem.

- No, kochanie, chyba nie chowasz do dzisiaj urazy? - Musisz wiedzieć, że w swoim czasie byliśmy dosyć blisko z Marysią, tylko moje plany nie pokrywały się z jej planami. Matrymonialnymi - z drugą częścią zwrócił się do Maćka. - Zresztą zatrudnił mnie jej papa i byłem zbyt zajęty na pielęgnowanie uczucia.

- Nawet gdybym zapomniała wszystkie kłamstwa, jakie powiedziałeś przez tamten rok, to i tak musisz zapłacić za to, co zrobiłeś Kovacsom.

- Przestańcie się kłócić! - przerwał im Jean. - Sprzątając wyrzucimy Pnioka na śmieci razem z jego współnikiem. Gdzie masz "Nike"? To pewnie ty byłeś kurierem, inaczej by cię nie zabierał ze sobą. Trafi do prawowitego właściciela, Puskasa. Ferenc będzie zaskoczony, bo nie kontaktowaliśmy się z nim prawie trzydzieści lat, ale na pewno zrobi mu się miło. To trofeum mu się należało.

- Używam teraz między innymi nazwiska PałECKI. Pniok brzmi zbyt prostacko, nie pasuje do mojego stylu - z urazą powiedział Waldek.

Czemu on tak pajacuje? - pomyślał Maciek, a głośno zaprotestował: - Nie jestem jego współnikiem! Zostałem w to wciągnięty! Nie musieliście mi wybebeszać mieszkania w Krakowie, bo nawet nie trzymałem "Nike" u siebie.

- Nigdy w życiu nie byłam w Krakowie - powiedziała Marie zbierając jego bagaże z podłogi. - Udało nam się dowiedzieć, że dogadujecie się z Arabami i przekazanie statuetki nastąpi w Madrycie.

Nie potrafił sobie później wytłumaczyć dlaczego, kiedy stanęła do niego tyłem, podniósł nogi i prostując je pchnął ją mocno w pośladki. Poleciała do przodu, przewracając ojca, który dwukrotnie wystrzelił. Waldek rzucił się szczupakiem do pistoletu, upuszczonego przez kobietę i leżąc na brzuchu wypalił z bliska do Duvalla. Przyklęknął nad jego córką, kierując ku niej lufę, ale niemal od razu ją podniósł.

- Dostała rykoszetem od starego... Wiedziałem, że jak ją wkurzę, to w końcu popełni jakiś błąd. Obudź się! Dobrze się spisałeś, ale jeszcze musisz coś zrobić. - Potar mosił za nogę zszokowanego Maćka. - Kiedy dam ci znak, uderz trzy razy pięścią w ścianę kabiny. To pewnie jest sygnał, mam nadzieję, że kierowca się zatrzyma.

Stanął przy tylnych drzwiach, machnął ręką, a kiedy Maciek zatłukł się w przegrodę i furgonetka prawie natychmiast się zatrzymała - szarpnął klamkę i wyskoczył na zewnątrz. Wrócił niedługo, ciągnąc po ziemi, kolejnego człowieka.

- Jakiś paparuch. Nie wiem, skąd go wytrzasnęli. Pewnie wynajęty kierowca - stęknął wrzucając tamtego do środka. - Osiem lat nie musiałem używać tego żelastwa. Nawet go nie noszę, bo ciuchy przez to źle leżą. Zbieraj kłamoty, przesiadamy się na miejsca z lepszą widocznością. Wytarł pistolet Marie jej polarem i zacisnął na nim jej dłoń.

Znajdowali się na jakimś pustkowiu. To dlatego kierowca tak szybko się zatrzymał. Nigdzie nie było żywego ducha. Waldek wstukiwiał coś w gps umieszczony przy desce rozdzielczej dostawczego volkswagena.

- Oddaj statuetkę - wyciągnął rękę do Maćka. - Co za popieprzony dzień. Uświadomiłem sobie, że nawet nie sprawdziliśmy, co dostałeś od tego czarnego. No, jest dziecinka! Teraz rozumiesz, dlaczego wymyśliłem, żeby ukryć ją na barce płynącej przez Europę? To są szaleńcy, psy gończe, a ci Węgrzy byli jeszcze gorsi.

Co za zimny drań. Zginęli wszyscy jego koledzy, sam zamordował dwoje ludzi, a beznamiętnie dalej realizuje swoje plany, myślał Maciek. On wykonywał tylko mechaniczne ruchy jak robot, a w głowie miał wyłącznie obraz bezwładnych, martwych ciał leżących za jego plecami. Sam przyczynił się do ich śmierci. Zdziwił się, słysząc pytanie, które wyszło z jego własnych ust:

- Dlaczego to dzieje się w Madrycie? Przecież nie mogłeś przewidzieć, że Wisła wylosuje Real.

- Takich możliwości jeszcze nie mam, ale pracuję nad tym - roześmiał się tamten, nawracając na raty na wąskiej drodze. - Wytłumaczenie jest prostsze. Sednem było przewiezienie statuetki w czarterze Wisły, a miejsce przekazania mogliśmy ustalić dowolnie. Gdyby wpadli na Monaco, umówilibyśmy się na hasioku u księcia Alberta.

- Jesteś ze Śląska?

- Jo, z Pyskowic. Ale jestem renegatem, ćwierć wieku temu wyparłem się swoich korzeni, po wyjeździe stamtąd.

- Do Paryża?

- Na wakacyjne winobranie do Prowansji, które sobie przedłużyłem. Zacząłem studia na Sorbonie, gdzie poznałem Marie.

- Jak mogłeś ich zamordować z zimną krwią?! Przecież to byli kiedyś bliscy ci ludzie?

- Nie zamordować, tylko zastrzelić w obronie własnej. Poza tym to byli wariaci, słyszałeś, co stary mówił o oddaniu "Złotej Nike" prawowitemu właścicielowi, Puskasowi? Myślę, że tamten tego samego dnia poszedłby z tym na policję. A co do tych domniemyanych morderstw, to czy ty nie miałeś w nich poważnego udziału?

- To prawda, Marie zginęła przeze mnie - Maciek pochylił głowę.

- I tak to dla porządku nazywajmy. Ale nie przejmuj się, dzięki temu sam przeżyjesz, bo ja nie zabijam więcej niż muszę. - Waldek sięgnął do kieszeni i pokazał mu wyciągniętą z niej komórkę. - Mam nagranie dzisiejszych rozmów. Gdybyś wpadł na samobójczy pomysł poinformowania o tym kogokolwiek, zniszczę cię, a co za tym idzie, twoich bliskich. Pamiętaj chyba, że sporo materiałów powstało także w Krakowie. Wracaj więc do swojego miasta, swojej pracy, swojej dziewczyny i trzymaj gębę na kłódkę. Młody jesteś, jakoś sobie poukładasz w głowie dzisiejsze wydarzenia.

Wjeżdżali znowu do Madrytu.

- Mam tu niedaleko zapasowy samochód, ale nie pojedziemy do niego. Lepiej, żebyś nie go nie znał. Wsadzę cię niedaleko postoju taksówek. Na wszelki wypadek nie zamawiaj kursu do hostelu, ale na przykład na Puerta del Sol, albo pod dworzec Atocha. Resztę przejdiesz piechotą. Poleję wewnątrz furgonetki benzyną z kanistra, który tam stał i podpalę. To powinno zatrzeć wszystkie ślady. Nie myśl o mnie źle. Nie spotkało cię nic, do czego sam byś się nie pchał.

VII.

Obudziła go fanfara.

- Tak? - odebrał komórkę, na której wyświetlił się numer krakowskiej redakcji.

- Cześć, wPorzo, przeżyłeś jakoś wczorajsze?

Po dwóch godzinach przewracania się na łóżku zażył podarowane przez recepcjonistkę proszki nasenne. Był tak otumaniony, że dopiero po chwili zorientował się, iż wesoły głos Tomciary pyta o mecz, a nie późniejsze zdarzenia.

- No, cześć. Tak, jakoś przeżyłem.

- Widzisz, wPorzo, to są tacy sami ludzie jak my. Tylko dużo lepiej grają w piłkę.